

POWSTAŃCZY UNIWERSYTET

Z MARKIEM ANTONIM WASILEWSKIM ROZMAWIA
ANDRZEJ W. KACZOROWSKI

– Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, miał Pan niespełna dwadzieścia lat. Jak Pan zapamiętał godzinę „W”?

– Szczęśliwie się złożyło, że po jedynym prawdziwym alarmie (bo gdzie indziej fałszywych sygnałów o rozpoczęciu akcji nie brakowało) znalazłem się na miejscu zbiórki, na ul. Sewerynow. W szkole zgromadziło się około trzystu powstańców. Jak się później okazało, było to Zgrupowanie „Krybar”. Wiedziałem wtedy tylko tyle, że jestem w Armii Krajowej.

– Ale konspiracja zaczęła się już wcześniej?

– W czasie okupacji uczyłem się na tajnych kompletach w Gimnazjum św. Wojciecha, czyli „U Górskiego”. Maturę zdałem wraz z pięcioma kolegami 4 lipca 1944 r. (wszyscy z tego grona przeżyli Powstanie). Do AK trafiłem dzięki prof. Władysławowi Tomkiewiczowi, wybitnemu historykowi, który był mężem mojej matki chrzestnej, a przysięgę składałem u kpt. „Sobiecha”, chyba na ul. Zielnej. Chodziłem na szkolenie na ul. Leszno, gdzie uczono nas, czym jest pistolet maszynowy Sten, jakie są zasady walki piechoty w mieście itp. Nosiłmy pseudonimy, najpierw nazywałem się „Potocki”, w Powstaniu zaś brałem udział jako strzelec (potem starszy strzelec) „von Sternau” – od bohatera książki Karola Maya, człowieka, któremu wszystko się udawało i wychodził ze wszelkich opresji. To „von” zresztą bardzo mi potem pomagało, jak uciekałem z niewoli niemieckiej.

– Jaki był ten pierwszy dzień Powstania?

– Pamiętam przede wszystkim olbrzymie rozczarowanie: na 300 ludzi – jedynie 200 uzbrojonych, z tego ze 150 (w tym ja) dostało tylko granat do ręki, reszta miała broń krótką; było jeszcze kilka karabinów i angielski wyrzutnik granatników Stoches, którego pierwszego dnia nie dało się użyć. Poza tym nie wiedzieliśmy – my, żołnierze – co i gdzie mamy zaatakować. Zaczęło się jednak przyjemnie: do domu, w którym mieliśmy zbiórkę, wszedł oficer niemiecki, więc natychmiast został zatrzymany i rozbrojony z pistoletu przy pasie. Wzięliśmy pierwszego jeńca na parę minut przed wybuchem Powstania...

– Czy udało się Niemców zaskoczyć?

– Gdy usłyszeliśmy pierwsze strzały, wybiegliśmy na ul. Obozną i dostaliśmy się natychmiast pod ogień niemieckich karabinów maszynowych strzelających z ówczesnego Gmachu Chemii Uniwersytetu Warszawskiego. Chroniąc się przed tym ostrzałem, dotarliśmy przed Teatr Polski; na szczęście, nikt z tej dużej grupy ludzi nie został ranny. Zaczęła się teraz przedziwna walka: ci, którzy mieli pistolety maszynowe, próbowali przeciąć druty i przez nieistniejący dziś domek uderzyć na Uniwersytet – siedzibę wielkiego garnizonu, najmniej kilkuset doskonale uzbrojonych Niemców.

Dokładnego rozpoznania zresztą nie było. Przy przecinaniu drutów kolczastych oddzielających domek od podwórca Uniwersytetu od razu został postrzelony i poważnie zraniony pchor. plutonowy „Krzysztof” (Wojciech Brzozowski, po wojnie znany profesor w Świerku). Stałiśmy z pustymi rękami (lub z jednym granatem), a Niemcy odpowiedzieli ogniem z granatników, podpalając budynek.

W tym czasie dotarł do nas nieznanemu oficer AK, który nie zdążył na swoje miejsce zbiórki. Został postrzelony. Zmarł na naszych oczach, mimo że pielęgniarki usiłowały go

ratować. Ta „zabawa” w nasz atak na Uniwersytet trwała jakieś 30–40 min; Niemcy byli zaszokowani tym, że my atakujemy tak duży obiekt, i najprawdopodobniej sądzili, że mamy zgromadzone znaczne siły, w związku z tym nie kontratakowali, bo w przeciwnym razie starliby nas w proch i pył. Kiedy się okazało, że nie możemy zrobić nawet kroku w kierunku Uniwersytetu, żeby przedrzeć się dalej przez te druty i płonący budynek, padł rozkaz, by się wycofać. W tym celu należało przeskoczyć przez ul. Oboźną do Teatru Polskiego; ten odcinek był bardzo mocno ostrzeliwany przez Niemców. Skakaliśmy grupami, mnie się udało, natomiast jeden z powstańców został trafiony w niesiony przez siebie granat. Rozerwało go na strzępy.

Wprawdzie straciliśmy tylko dwóch ludzi, ale gdy się policzyliśmy, to z trzystuosobowej grupy pozostało nas może osiemdziesięciu. Nadszedł wtedy jakiś powstaniec z opaską, przedstawił się jako por. „Kaczka” i powiedział: „Powstanie upadło, trzeba chronić się, gdzie kto może”. Później rozpląnął się. To była jakaś mętna postać. Szedłem Tamką w dół do domu ciotki przy ul. Czerwonego Krzyża, po drodze włożyłem swój granat do rynny; na Dobrej zatrzymały mnie posterunki powstańcze. Znałem hasło („Wilno”) i odzew („Wolność”), więc mnie przepuścili, wróciłem jednak po granat. Do domu ciotki nie można było dojść ze względu na ostrzał artyleryjski, natomiast w Domu Nauczycielstwa Polskiego i w elektrowni na Powiślu znajdowały się zgrupowania powstańcze, do których dołączyłem.

– **Nie było więc po wybuchu Powstania nastroju euforii...**

– Jaka mogła być euforia, skoro nie mieliśmy czym walczyć?! Kombinowałem, że na przykład będziemy stali, powiedzmy trzydziestu ludzi, w jakiejś bramie, a kiedy będzie szedł czteroosobowy patrol niemiecki, to ostrzelamy go, zabierzemy broń i weźmiemy do niewoli. Nigdy nie przypuszczałem, że będziemy mogli frontalnie – z tym uzbrojeniem! – uderzyć na niemieckie koszary. Podobne absurdy militarne występowały także w innych miejscach.

– **Dalej walczył Pan na Powiślu?**

– Tak, dostałem przydział do grupy wypadowej „Rafała”, bo nie wiedziałem, gdzie przepadła moja kolumna motorowa „Wydra” z ul. Sewerynow. Dowodził uwielbiany przez nas pchor. Jan Potulicki, bardzo dzielny i szlachetny człowiek; zginął tragicznie od własnego piąta [rodzaj granatu], strzelając do artylerii niemieckiej w ogródkach działkowych nad Wisłą (trafił we framugę okna).

Wysyłano nas tam, gdzie działo się coś niewyraźnego lub niebezpiecznego, do łatania dziur. Jedną z takich akcji było nadejście niemieckiego działka szturmowego Hornisse (Szerzeń), które ostrzeliwało róg Dobrej i bocznic. Byłem tam na III piętrze ze swoją grupą 5 sierpnia, na głowie miałem kask strażacki. Wyznaczono mi zadanie obserwowania tego działka stojącego w odległości około trzystu metrów. Gdy tylko usiadłem na parapecie okna i przyłożyłem lornetkę do oczu, padł strzał. Pocisk eksplodował w naszym pokoju, zrobiło się rudo od kurzu; nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, poczułem tylko, że wchodzę w ścianę. Straciłem wzrok. Opierając się na sanitariuszce zszedłem w dół, gdzie wzięli mnie na nosze i zanieśli do szpitala przy kościele św. Teresy na Tamce. Byłem ranny w głowę; została mi tylko połowa okularów na nosie, miałem zaburzenia ruchowe. Pocisk jakby poślizgnął się na mojej czaszce, ale poparzyło mi też ręce, a w palcach utkwily powbijane kawałki muru. To było moje pierwsze oddanie krwi za Ojczyznę. Po sześciu dniach opuściłem szpital i z obandażowaną głową walczyłem potem do końca Powstania; dostałem nowy hełm – mam go zresztą do dzisiaj.

– **Uniwersytet nie został zdobyty?**

– Drugi atak 23 sierpnia nastąpił bez należytego rozpoznania terenu. Kazano nam bez żadnego wsparcia uderzyć z dołu na wysoki mur na skarpie. Opatrzność nas ocaliła; wycofa-

liśmy się, bo nie zauważyliśmy rakiety wystrzelonej przez oddziały, które atakowały Uniwersytet od Krakowskiego Przedmieścia. To byłaby rzeź.

Podczas trzeciego, równie fatalnego, ataku na Uniwersytet udało mi się drugi raz zostać rannym. Leżeliśmy na ul. Oboźnej, Niemcy strzelali do nas z uniwersyteckiego budynku jak do kaczek. Atakowałem z jednym Schmeisserem, do którego miałem dwa magazynki, jeden wystrzelałem, a drugi zgubiłem podczas wyskoku szczupakiem przez ostrzeliwaną bramę. Gdy potem Niemcy zorientowali się, że ci, którzy podczołgali się na drugą stronę ulicy do drutów kolczastych, są w martwym polu ostrzelał, zaczęli z dachu rzucać granaty; jeden wybuchł koło mnie. Dopiero po wycofaniu się z terenu walki okazało się, że mam odłamek w pośladku. Nie było już elektryczności, nie można było ciąć, poszedłem z tym do nieowli i dotychczas noszę tę pamiątkę ze sobą.

– **A jak się zachowywała ludność cywilna?**

– Na początku Powstania wspaniale. W miarę jednak jak zbliżał się upadek, ludzie mieli do nas coraz większe pretensje. Wielki entuzjazm zgasł, doszło do tragedii; ludność musiała opuścić Powiśle, które przecież w ogóle nie było do obrony.

– **To już był koniec Pana udziału w Powstaniu?**

– Niemcy zajęli Powiśle w ciągu dwunastu godzin. Przed upadkiem Powiśla byłem jednym z członków wozu pancernego „Kubus”. Niestety, zamiast użyć go do dalszej walki na Nowym Świecie, „Kubusia” spalono z obawy, by nie przerwał barykady. Przeszedłem później do oddziałów, które broniły ul. Chmielnej. Nasz powstańczy dzień przez niemal miesiąc wyglądał podobnie: strzelanie do pozycji niemieckich, kopanie tunelu łącznikowego i poszukiwania aprowizacyjne. Tylko drużyny się zmieniały. W Śródmieściu zastała nas kapitulacja. Przyłączyłem się wtedy do oddziału mojego wuja, por. „Korcza”, który walczył na Starówce. Dostałem się do obozu jenieckiego w Sandbostel, ciężko tam chorowałem. Był straszny głód, zgłosiłem się na roboty w Karyntii, blisko granicy jugosłowiańskiej.

– **Jak Pan dziś ocenia Powstanie? Czy to miało sens?**

– Chociaż negatywnie oceniam aspekt militarny walk powstańczych, widzę zwłaszcza błędy dowództwa, to generalnie uważam, że wybuch Powstania uratował nas przed jeszcze większym nieszczęściem dziejowym. Gdyby bowiem później doszło w Warszawie do walk z Sowietami – a z pewnością by doszło, bo mieliśmy rozkaz: „Powitać Armię Czerwoną, lecz nie dać się rozbroić” – skończyłoby się to wielką tragedią narodową; mogłoby to być Stalingrad. Stalin utopiłby stolicę we krwi, a pozostali przy życiu powstańcy trafiliby na Sybir. Powstanie Warszawskie uchroniło nas przed niewyobraźną katastrofą, choć cena, jaką za to przyszło zapłacić, była straszliwa.

– **Panu udało się przeżyć...**

– Cały czas modliłem się, a Opatrzność czuwała. Mam świadomość, że nie zasłużyłem na to swoim grzesnym życiem. Wielokrotnie podczas wojny wychodziłem cało z nieprawdopodobnych opresji. Wciąż nie przestaję za to Bogu dziękować.



Fot. P. Życieński

M.A. Wasilewski w hełmie z Powstania